



Dzień dobry, czas umierać!

Tak, wiem. Będziecie czytać o tym, jak umierałem w męczarniach, i wykrzykiwać: „Rany! Nieźle to brzmi, Magnus! Mogę też umrzeć w męczarniach?”

Nie. Po prostu nie.

Nie skaczcie z żadnych dachów. Nie wbiegajcie na autostradę, nie podpalajcie się. To tak nie działa. Nie skończycie tam, gdzie ja.

A poza tym wcale nie macie ochoty znaleźć się w mojej sytuacji. Jeśli nie jesteście na tyle szaleni, żeby chcieć oglądać nieumarłych wojowników rozwalających się wzajemnie w drobny mak, miecze uderzające olbrzymy w nosy, mroczne elfy w modnych ciuchach, nie powinniście nawet rozważać poszukiwania bramy z głową wilka.

Nazywam się Magnus Chase. Mam szesnaście lat. Oto opowieść o tym, jak moje życie stało się jeszcze gorsze, od kiedy dałem się zabić.

Dzień zaczął się dość normalnie. Spałem na chodniku pod mostem w parku, kiedy jakiś facet obudził mnie kopniakiem i oznajmił:

– Szukają cię.

Nawiasem mówiąc, od dwóch lat byłem bezdomny. Część z was pomyśli pewnie: oj, ale to smutne. Inni raczej uśmieją się i powiedzą: „Cha, cha, oferma!”. Ale gdybyście zobaczyli mnie na ulicy, dziewięćdziesiąt dziewięć procent z was minęłoby mnie, jakbym był niewidzialny. Modlilibyście się, żebym nie poprosił was o pieniądze. Zastanawialibyście się, czy jestem starszy, niż wyglądam, ponieważ nastolatek na pewno nie byłby owinięty w stary cuchnący śpiwór w samym środku bostońskiej zimy. „Ktoś powinien pomóc temu biedakowi!”

A następnie poszlibyście dalej.

Nieważne. Nie potrzebuję waszego współczucia. Przywykłem, że ludzie się ze mnie wyśmiewają. Że mnie ignorują. Ruszajmy dalej.

Koleś, który mnie obudził, był znany jako Blitz. Jak zwykle wyglądał, jakby właśnie przebiegł przez tornado śmieci. Z jego kręconych czarnych włosów sterczały świstki papieru i gałaczki. Na twarzy koloru wytartej skóry osiadły kryształki lodu. Brodę miał rozwichrzoną, a źrenice oczu tak rozszerzone, że zajmowały całą tęczówkę. Dół długiego płaszcza, ciągnącego się wokół stóp – Blitz ma z metr sześćdziesiąt wzrostu – ubrudzony był śniegiem. Jego nieustannie zaniepokojona mina sprawiała, że wyglądał, jakby w każdej chwili mógł zacząć krzyczeć.

Przetarłem zaspane oczy. W ustach czułem smak starego hamburgera. Śpiwór był ciepły, naprawdę wcale nie pragnąłem z niego wychodzić.

– Kto mnie szuka?

– Nie bardzo wiem. – Blitz potarł nos, który był tyle razy złamany, że przypominał teraz zygzakowatą błyskawicę. – Rozdają ulotki z twoim nazwiskiem i zdjęciem.

Zakląłem. Z przypadkowymi policjantami i strażnikami parkowymi dawałem sobie radę. Kuratorzy szkolni, wolontariusze uliczni, pijani studenci, narkomani szukający słabszej

od siebie ofiary do sponiewierania – wszyscy oni nie stanowili żadnego problemu, gdy już się obudziłem.

Ale ktoś, kto zna moją twarz i nazwisko – to brzmiało niedobrze. To oznaczało, że ktoś namierza konkretnie mnie. Może to ci ludzie z noclegowni, którzy wściekli się na mnie za zepsucie ich sprzętu audio. (Ale ich kolędy doprowadzały mnie do szału). Może jakaś kamera zarejestrowała moją ostatnią kradzież kieszonkową w Dzielnicy Teatralnej. (Ej, no, potrzebowałem na pizzę). A może, jakkolwiek mało prawdopodobne to się wydawało, policja nadal szuka mnie w związku z morderstwem mojej mamy...

Spakowałem rzeczy, co zajęło mi jakieś trzy sekundy. Śpiwór zwijał się ciasno i mieścił do plecaka ze szczoteczką do zębów oraz skarpetkami i bielizną na zmianę. To plus ciuchy, które miałem na grzbiecie, stanowiło cały mój dobytek. Z plecakiem na ramieniu i naciągniętym głęboko kapturem bez problemu wtapiałem się w tłum. W Bostonie jest mnóstwo studentów. I część z nich wygląda na jeszcze większych i młodszych obzarpańców niż ja.

– Gdzie widziałeś tych ludzi z ulotkami? – zapytałem Blitz.

– Na Beacon Street. Idą w tym kierunku. Biały facet w średnim wieku i nastolatka, zapewne jego córka.

Zmarszczyłem brwi.

– To nie ma sensu. Kto...

– Nie mam pojęcia, chłopcze, ale muszę zmykać. – Blitz skrzywił się w kierunku wschodzącego słońca, które malowało okna wieżowców na pomarańczowo. Z powodów, których nigdy nie zrozumiałem, Blitz nienawidził światła dnia. Może był najniższym, najgrubszym bezdomnym wampirem na świecie.

– Powinieneś zobaczyć się z Hearthem. Włóczy się gdzieś w okolicy Copley Square.

Starałem się nie zirytować. Okoliczni bezdomni w żartach nazywali Heartha i Blitza moimi rodzicami, ponieważ któryś z nich zawsze jakby miał na mnie oko.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziałem. – Dam sobie radę.

Blitz obgryzał kciuk.

– No nie wiem, chłopcze. Nie dzisiaj. Musisz szczególnie uważać.

– Dlaczego?

Zerknął ponad moim ramieniem.

– Nadchodzą.

Nikogo nie widziałem. Kiedy się odwróciłem, Blitza nie było.

Nienawidziłem, kiedy to robił. Ot tak – *puf*. Ten facet był jak ninja. Bezdomny wampir ninja.

Miałem teraz do wyboru: iść na Copley Square włóczyć się z Hearthem albo skierować się ku Beacon Street i usiłować rozpoznać poszukujących mnie ludzi.

Opis przedstawiony przez Blitza zaintrygował mnie. Facet w średnim wieku i nastolatka poszukujący mnie o wschodzie słońca w mroźny poranek. Dlaczego? Kim byli?

Poczołgałem się brzegiem stawu. Mogłem przyczaić się na wzgórzu i widzieć wszystkich, którzy się zbliżali, samemu pozostając niewidocznym.

Śnieg pokrywał ziemię. Niebo było jaskrawoniebieskie. Nagie gałęzie drzew wyglądały jak zanurzone w szkło. Wiatr przewiewał wszystkie warstwy mojego ubrania, ale nie przejmowałem się zimnem. Mama zawsze żartowała, że jestem w połowie niedźwiedziem polarnym. Przestań, Magnus, upomniałem sam siebie.

Po dwóch latach wspomnienia były nadal jak pole minowe. Gdy nastąpiłem na jedno, cały mój spokój rozpadł się w proch.

Usiłowałem się skupić.

W moim kierunku zbliżali się mężczyzna i dziewczyna. Mężczyzna miał jasne włosy opadające poniżej kołnierza – nie sprawiało to jednak wrażenia specjalnie wybranej fryzury, ale raczej niedbałości. Jego zakłopotana mina przypominała mi nauczycieli na zastępstwie: *Wiem, że właśnie oberwałem kulką z papieru, ale nie mam pojęcia, z której strony nadleciała.* Jego eleganckie buty zupełnie nie pasowały do bostońskiej zimy. Skarpetki miał w dwóch różnych odcieniach brązu. Krawat wyglądał, jakby został zawiązany, gdy jego właściciel kręcił się w kółko w kompletnej ciemności.

Dziewczyna musiała być jego córką. Włosy miała równie gęste i pofalowane, aczkolwiek jeszcze jaśniejsze. Ubrana była nieco rozsądniej: w śniegowe botki, dzinsy i ciepłą kurtkę, spod której pod szyją wystawał pomarańczowy podkoszulek. Wyraz twarzy miała zdecydowany, gniewny. Ścisnęła w ręce plik ulotek, jakby były to wypracowania, za które dostała zaniżoną ocenę.

Jeśli to ona mnie szukała, nie chciałem zostać znaleziony. Wyglądała przerażająco.

Nie rozpoznawałem jej ani jej taty, ale coś wyczuwałem na samym dnie czaszki... jakby magnes usiłował wydobyć stamtąd bardzo stare wspomnienie.

Ojciec i córka zatrzymali się na rozwidleniu ścieżki. Rozejrzeli się wokół siebie, jakby dopiero teraz zorientowali się, że stoją pośrodku pustego parku o barbarzyńskiej godzinie w samym środku zimy.

– Niewiarygodne – odezwała się dziewczyna. – Chętnie bym go udusiła.

Zakładając, że ma na myśli mnie, skuliłem się jeszcze bardziej.

Jej ojciec westchnął.

– Chyba powinniśmy powstrzymać się przed zabijaniem go. To twój wujek.

– Ale dwa lata?! – wykrzyknęła dziewczyna. – Tato, jak on mógł nam nie powiedzieć przez dwa lata?

– Nie potrafię wyjaśnić działań Randolpha. Nigdy nie potrafiłem, Annabeth.

Wciągnąłem głośno powietrze i wystraszyłem się, że zaraz mnie odkryją. Z mojego umysłu odpadł strup, ukazując piekące wspomnienia z czasów, kiedy miałem sześć lat.

Annabeth. A to oznaczało, że jasnowłosa mężczyzna był... *wujkiem Frederickiem?*

Wróciłem do ostatniego rodzinnego Święta Dziękczynienia: Annabeth i ja chowamy się w gabinecie rezydencji wujka Randolpha i gramy w domino, podczas gdy dorośli wrzeszczą na siebie na dole.

„Masz szczęście, że mieszkasz z mamą”. Annabeth ustawiła kolejną kostkę domina na swojej miniaturowej konstrukcji. Była ona zaskakująco porządnie zbudowana, a z przodu miała kolumny jak jakaś świątynia. „Ja będę musiała uciec”.

Nie wątpiłem, że mówi prawdę. Zawsze imponowała mi jej pewność siebie.

A potem w progu pojawił się wujek Frederick z zaciśniętymi pięściami. Jego ponura mina pozostawała w dziwnym kontraście z uśmiechniętym reniferem na jego swetrze. „Idziemy, Annabeth”.

Annabeth spojrzała na mnie. Jej szare oczy były nieco zbyt groźne jak na pierwszoklasistkę. „Uważaj na siebie, Magnusie”.

Jednym pstryknięciem palca zburzyła swoją świątynię z klocków.

Wtedy widziałem ją ostatni raz.

Potem mama była niewzruszona. „Trzymamy się z dala od twoich wujów. Zwłaszcza od Randolpha. Nie dam mu tego, czego chce. Nigdy”.

Nie wyjaśniła, czego chciał Randolph ani o co kłóciła się z Frederickiem i Randolphem.

„Musisz mi zaufać, Magnusie. Przebywanie w ich pobliżu... jest zbyt niebezpieczne”.

Ufałem mojej mamie. Nawet po jej śmierci nie nawiązałem żadnych kontaktów z krewnymi.

A teraz, znienacka, to oni mnie szukali.

Randolph osiadł w mieście, ale o ile wiedziałem, Frederick i Annabeth nadal mieszkali w Wirginii. A jednak byli tu, rozdając ulotki z moim imieniem i zdjęciem. Skąd oni w ogóle wzięli moje zdjęcie?

W głowie szumiało mi tak paskudnie, że umknęła mi część ich rozmowy.

– ...znaleźć Magnusa – mówił wujek Frederick. Zerknął na swój smartfon. – Randolph pytał w noclegowni na South End i nic. Może powinniśmy sprawdzić schronisko dla młodzieży po drugiej stronie parku.

– Skąd mamy pewność, że Magnus w ogóle żyje? – zapytała żałośnie Annabeth. – Zaginął dwa lata temu? Mógł zamarznąć w jakimś rowie!

Pewna częśćka mnie miała ochotę wychynąć z kryjówki i krzyknąć: TA-DAM!

Chociaż nie widziałem Annabeth od dziesięciu lat, nie chciałem, żeby się martwiła. Ale po takim czasie na ulicy nauczyłem się jednego: nie pakuj się w nic, czego nie rozumiesz.

– Randolph jest pewny, że Magnus żyje – odparł wuj Frederick. – Jest gdzieś w Bostonie. Jeśli jego życie jest rzeczywiście w niebezpieczeństwie...

Ruszyli w kierunku Charles Street, a wiatr zagłuszył ich słowa.

Dygotałem teraz, ale nie z zimna. Miałem ochotę pobiec za Frederickiem, zaczepić go i zażądać odpowiedzi. Skąd Randolph wie, że nadal jestem w Bostonie? Dlaczego mnie szukają? Jakim cudem moje życie jest bardziej w niebezpieczeństwie teraz niż kiedykolwiek indziej?

Ale nie poszedłem za nimi.

Pamiętałem ostatnią rzecz, jaką powiedziała mi mama. Nie miałem ochoty zwiewać schodami przeciwpożarowymi, nie chciałem jej zostawić, ale chwyciła mnie za ręce i zmusiła do spojrzenia sobie prosto w oczy. „Uciekaj, Magnusie. Ukryj się. Nie ufaj nikomu. Ja cię znajdę. Cokolwiek się stanie, nie proś Randolpha o pomoc”.

A potem, zanim zdążyłem wyskoczyć przez okno, drzwi naszego mieszkania zamieniły się w stos drzazg. Z mroku wynurzyły się dwie pary błyszczących niebieskich oczu...

Odepchnąłem to wspomnienie i patrzyłem, jak wujek Frederick i Annabeth oddalają się, skręcając na wschód ku Common.

Wujek Randolph... Z jakiegoś powodu skontaktował się z Frederickiem i Annabeth. Ściągnął ich do Bostonu. Przez cały ten czas Frederick i Annabeth nie wiedzieli, że mama nie żyje, a ja zniknąłem. Wydawało się to niemożliwe, ale jeśli było prawdą, to dlaczego Randolph powiedział im akurat teraz?

Nie ryzykując bezpośredniej konfrontacji z wujem, mogłem w tylko jeden sposób uzyskać informacje. Jego rezydencja znajdowała się w Back Bay, niedaleko stąd. Z tego, co mówił Frederick, wynikało, że Randolpha nie było w domu. Był gdzieś na South End i mnie szukał.

Ponieważ nie ma nic lepszego na początek dnia niż małe włamanie, postanowiłem odwiedzić jego dom.